MOGIŁY WOLI

POEMAT

PRZEZ

JÓZEFA DRĄŻEWSKIEGO

PARYŻ
W DRUKARNI L. MARTINET
ULICA MIGNON, 2
1860

MOGIŁY WOLI

POEMAT

PRZEZ

JÓZEFA DRĄŻEWSKIEGO

PARYŻ

W DRUKARNI L. MARTINET

ULICA MIGNON, 2

1860

MOGIŁY WOLI.

I.

Kiedyś — w pierwszéj młodości — w złotych snów zaraniu,
Jam roił szczęście w życiu, marzył o kochaniu.
A dusza strojna w barwy kwiatu tęczowego,
W kryształy snów srebrzystych — gdzieś z świata innego,
Bez wiedzy, nieświadomie, jak iskierka w stnieniu,
Czuła miłość gorącą ku wszemu stworzeniu.
Później — i serce rosło i czucie wzrastało,
I w świat cały miłości morzem się rozlało; —
Aż znowu się skupiło z téj wielkiej przestrzeni,
Jak słońce przez soczewkę, w jeden punkt promieni;
A ognisko żarzące ogromem miłości
Padło w ziemię, gdzie leżą ojców moich kości!

Ziemio moja rodzinna! kraju mój kochany!
Niegdyś wolny — szczęśliwy — dziś łzami oblany;
Jam cię dawno opuścił — przebiegł świata strony,
Zwracając wciąż ku tobie wzrok mój utęskniony;
I gdy chwilę chcę spocząć w serca szczęśliwości,
To choć w śnie ducha marzę o twojéj piękności.

Sosno nasza wysmukła! łęgu nasz zielony!
Równy — kwiecisty — wonny — wzrokiem niezmierzony!
Łany okiem nieścigłe pszenicy i żyta,
Gdzie tak pięknie mak polny i modrak rozkwita,
Trzęsawiska i bagna, moczary i trzciny,
Barwne wieńcem sitowia, strojne w rokiciny!
Piaski złote, ozdobne w świeczniki dziewanny,
Lśniące blaskiem brylantów od rosy porannéj!
Wzgórza brzozą porosłe, schodzące w doliny,
Wdzięczne kwieciem różowém, jak uśmiech dziewczyny!
O! wy stokroć piękniéjsze jak szwajcarskie góry,
Bo niemasz jak równina gdzie żyją Mazury!

Niech inni sobie sławią indyjskie Lotusy,
Niech sobie uwielbiają z Afryki kaktusy,
Niech wielbią płody, sztuki, zamorskiéj natury,
Niemasz! niemasz, jak ziemia, gdzie żyją Mazury!
O! piękniejsza kalina, jak granat hiszpański,
A jaskier i ognicha, jak kwiat afrykański,
I woń czysta, żywiczna sosnowego lasu
Milsza stokroć, niż balsam Peruwii, Madrasu;

Lecz nie tylko powietrze i kwiat mojéj ziemi
Tak piękny i tak wonny, — O! jest między niemi
Kwiat piękniejszy nad wszystkie tego świata kwiaty,
W woń ducha, krasę ciała, nad wszystko bogaty:
Tym kwiatem, to nasz Mazur, jak krynica czysty
Duszą i sercem, — ciałem jako dąb barczysty,
Zdrów i silny...

A niech sobie artysta wielbi lud przeżyły,
Co prostotą i duchem wstąpił do mogiły,
Co mu z całéj piękności został typ klasyczny,
Z zwiędłą duszą i sercem, — nasz Mazur prześliczny,
To życie w całéj pełni, w dziewiczéj piękności,
To nasienie pierwotne — to kość naszéj kości,
To żródło żywéj wody, co konar spróchniały
Obmyje nowém życiem dla szczęścia i chwały,
To pieśń wielka, co zagrzmi stali brzękiem w chmury,
Bo niemasz, niemasz ludu, jak nasze Mazury!

II.

Na równinach Mazowsza, wśród łąk niezmierzonych,
Kilka chatek słomianych stało rozrzuconych,
Nad strumieniem i stawem porosłym w około,
Co groźnie hucząc pianą, spadał w młyńskie koło.
A za młynem, na wzgórku, stał dworek niewielki,
Budowle miał obszerne i porządek wszelki

Należny gospodarstwu . . .
Miał ganek z poręczami z drzewa brzozowego,
A dach ciemno-zielony od mchu stuletniego.

W tym dworku mieszkał sobie nie jaśnie-wielmożny,
Nie hrabia, nie mecenas, ale dość zamożny
Szlachcic stary, wojskowy jeszcze dawnéj daty;
I choć go nie rodziły sławne antenaty,
To na ścianie wisząca żelazna kolczuga,
Którą jakiś tam pradziad przywiózł z pod Ruszczuka,
I dwa perskie dywany i pałasz złocony,
Z pod Smoleńska podobno jeszcze przywieziony,
Wskazywały, że przodki nie za piecem były,
I że w każdéj potrzebie dzielnie kraj broniły;
Ba, i stary Jegomość, posiadacz téj wioski,
W osiem set siódmym roku, kiedy Poniatowski
Formował wojska polskie dla kraju obrony,
Wszedł w służbę, pod Raszynem ciężko był raniony,
I niezdatny już więcéj do kraju usługi,
Zmienił ostrze pałasza na żelazne pługi,
Krajał skibę swéj ziemi . . . .
A plejzer miał do koni — hodował źrebaki,
Powiadając że wkrótce nadejdzie czas taki,
Że potrzeba nam będzie bardzo wiele koni;
» Boć konie nam potrzebne do wszelakiéj broni;
» Choć piechury, to muszą mieć swoje furgony,
» A ważną rzeczą furgon dobrze uprzężony.
» Koń powinien być młody, tęgi, mocny, zdrowy,

» A zaprząg ze surowcu i grube podkowy ;
» Boć nie czas wtedy szukać ni octu ni gliny,
» Gdy szkapa zakuleje dla marnéj przyczyny
» Że nie dobrze okuty — a dla końskiej nogi,
» Cały jaszczyk ładunków zostawisz wśród drogi. »

Tak Jegomość powiadał, kiedy z gości jaki
Wychwalał jego konie i piękne źrebaki.
A gdy gości nie było (co się przytrafiało,
Bo jegomość w sąsiedztwach także bywał mało), —
Najczęściéj w domu siedział tak jakby zakuty,
Mówiąc : « Nie ma co patrzyć na ten świat zepsuty ; »
To gdy z łąk nad zachodem źrebaki wracały
Ze rżeniem i tententem, jakby szwadron cały,
Wołał na żonę : « Imość ! pójdź no tu kochanko !
» Patrz aśćka, co się robi z tą naszą bułanką !
» Toć to pod jenerała ta źrebica rośnie ;
» A dwu-latka dopiero — i to teraz, w wiośnie,
» Na wielkanoc, czy w poście, dwa lata skończyła ; —
» Oj, żeby i kasztanka taka sama była !
» A gniade ? patrz-no aśćka, to prawo-skrzydłowe,
» A grubo-płaskie muce — toć to furgonowe :
» A kare ! . . . co za nogi ! patrz aśćka na nogi,
» Załóż się aśćka — w glinie, wśród najgorszéj drogi,
» Z granatnikiem tak pójdą, jak z pierzyną jaką ! »
I w zapale częstował źrebiarków tabaką,
Chłopaków co liczyli lat ledwo czternaście :
» Słuchaj-no Kuba, Franek ! — a bułankę paście,

» I strzeżcie, a nie wsiadać... no, zażyj tabaki!
» Popsułbyś... nie, nie wsiadać! — to jeszcze źrebaki.
» A paść mi po ubiedrzniach, nie puszczać w źródliska,
» Kwaśna trawa i koszczki — na stare koniska
» To dobre, im nie szkodzi... ale te robaki,
» Jak baranki... jak sarny... na, zażyj tabaki! »
I Jegomość powracał w dom uradowany;
Od wieśniaków, od córki, od żony kochany,
Pędził spokojnie życie w zatrudnieniu, w pracy,
Bo mawiał że bez pracy nie będzie kołaczy.
A nie tylko swym chłopkom powtarzał to często,
Lecz i tym, co przededwór, w czwórkę, z miną gęstą
W gościnę zajeżdżając, mądrze rozprawiali
I biegli w dyplomacyi, zawsze rachowali
Na Francuza, na Turka w krajowéj potrzebie,
Na wszystkich świętych w niebie — tylko nie na siebie.
Jegomość im powiadał zwykle w takich słowach:
» A cóż to się téż mieści w waszych mądrych głowach?
» Wy tęgie polityki z Meternicha szkoły,
» A w rzeczy swego kraju tępiście jak woły!
» Filozof nie ulepi garnka glinianego;
» Ba! nie weźmie téj pracy — boć to nie rzecz jego:
» Garnek przez swego majstra musi być zrobiony,
» A jeśli glina dobra — dobrze wypalony,
» To z niego będziesz strawę dla siebie gotował.
» A chciałbyś może by wilk sarnę upolował
» I tobie dał na pieczeń?... poczekaj, mospanie!
» To z głodu sobie zdechniesz, nim zjesz to śniadanie.

» A Francyi co do Polski? — a choćby i było,
» To naród istnieć może tylko własną siłą,
» I jeżeli posiada tę siłę istnienia,
» Dzielność ducha, złączoną z dzielnością ramienia,
« To choć chwilę odpocznie po żywocie starym,
» Jak piękna ozimina pod zimy ciężarem,
« Jednak, gdy słońce błyśnie w niedalekiéj wiośnie,
» Jeszcze bujniej, zieleniej krzewi się i rośnie.
» A Anglii co do Polski ? — a choćby i było,
» To naród istnieć może tylko własną siłą;
» A siła ta spoczywa w każdym synu Polski;
» Obcy, kraju nie stworzy, — boć to utwór Boski.
» Bóg ci stworzył tę ziemię i zasiew i plony,
» Lecz mierzwić musisz dobrze i orać zagony,
» I wodę wiosną spuszczać, włóczyć i bronować,
» Jeśli na zimę swego chleba chcesz kosztować.
« I czemuż ty nie czekasz aż ktoś przyjdzie drugi
» I schudzi swoje woły, stępi swoje pługi,
» Żebyś ty na przednowek miał w stodole zboże?
» O! mądre polityki! oj! żal się was Boże!
» Boć wiem że nie złe serca, chce się mieć ojczyznę,
» Lecz chce się by ktoś zrobił — tak jak za pańszczyznę.
» Wam się młodym nie dziwię, boć wy powtarzacie
» Za panią matką pacierz, ależ serca macie
» I każdy wsiądzie na koń kiedy zawołają;
» Ale starym! oj starym! co te głupstwa bają
» I wierzą w polityczne dyplomacyi sztuki,
» A z chłopskiego rozumu nie wezmą nauki,

» Że gdy wilkowi z paszczy co wydrzeć potrzeba,
» Nie prosić się i kłaniać, ale bić go trzeba. »

III.

W sąsiedztwie pana wioski — za lasem w blizkości
Mieszkał towarzysz broni pana jegomości,
Na kilku włókach ziemi i kawale łąki,
(A zagroda się zwała Kozienickie-Bąki),
Jak to zwyczajnie sobie szlachcic zagonowy,
Barczysty, wąsów siwych i silnéj budowy.
Pan Wojciech żył spokojnie na swojéj zagrodzie,
I jak przysłowie mówi, równy wojewodzie,
Szczęśliwiéj czas przepędzał jak po pańskich dworach;
Polował sobie zwykle w okolicznych borach,
Miał wyżła wybornego i strzelał jak rzadko,
Czasami łowił ryby klepą albo siatką,
Na wiosnę stawił żaki, wędy i więcierze,
A kiedy się już w sadzu sporo ryb nabierze,
To żydek co po wioskach skórkami handlował,
Zajeżdżał wózkiem przed dom i wszystkie kupował.
W zamian przywoził różnych towarów po trochu,
Pieprzu, soli, tabaki — ołowiu i prochu;
Lecz śrótu nie przywoził, bo myśliwy stary
Strzelał zwyczajnie kulą gdy gonią ogary;
Gdy szedł na ptaki — rurki były nabijane
Kawałkami drobnemi, które posiekane

Były z prątków ołowiu, — więc nie potrzebował
Śrótu z dalekich fabryk — sam go fabrykował.
W zagrodowym budżecie nie mało stanowił
Dochód z futer zwierzęcych, które Wojciech łowił
W rozliczne samołówki, i przez czas zimowy
Kilkadziesiąt talarów niosły takie łowy,
Bo za kunę brał najmniéj złotych ze czternaście,
A takich kun ułowił przez rok kilkanaście,
Pięć albo i sześć wyder, a skóry wydrowe
Na czapki drogo płaci plemie mojżeszowe,
A cóż dopiero lisie, z tchórza albo wilka!
Te chociaż nie tak drogie—lecz dukatów kilka
Zawsze w zysku przyniosły; — miał jeszcze i pszczoły,
A że łąki pastewne—to i tłuste woły
Orały skibę ziemi na pszenicznéj glebie;
To też nie brakło nigdy na soli i chlebie
W skromném zaciszu, które pan Wojciech zajmował;
I kilkadziesiąt owiec jeszcze sobie chował,
A każda przynosiła już najmniéj talara;
W małéj stajni, przy żłobie, stała koni para
Roboczych, tłustych, zdrowych, a trzeci wierzchowy;
Bo to chociaż pan Wojciech szlachcic zagonowy,
To że młodość przepędził w gwarach obozowych,
Gdyż brał udział we wszystkich ruchach narodowych,
Tak się już przyzwyczaił do konia i siodła
I zawsze do tych rzeczy taka chętka wiodła,
Że chociaż to był zbytek na jego dochody,
Miał dzielnego wierzchowca w stajence zagrody. —

Kulbakę też miał dobrą i zawsze gotową,
Która przy łóżku w izbie wisiała nad głową,
A nad nią szabla krzywa, pistoletów para,
Dwórurka kalibrowa, ze skałkami, stara
Ale cnoty szczególnéj, i torba strzelecka,
Róg z prochem, forma do kul i jakaś turecka
Strzelba długa, wysmukła, któréj kulka mała
O pięć set kroków celu nigdy nie chybiała.
To bogactwo szlachcica, w pięknéj armaturze
W porządku rozwieszone na łosiowéj skórze,
Ozdabiały portrety króla Sobieskiego,
Kościuszki, Kołłątaja, szewca Kilińskiego;
A niżéj, tuż nad głową, znak Chrystusa pana,
Do którego pan Wojciech co każdego rana
Odmawiał swe pacierze za poległych w boju
Swych starych towarzyszy, ażeby w pokoju
Ich dusze spoczywały, i inne modlitwy,
Ażeby, gdy znów przyjdzie do stanowczéj bitwy,
Do walki, kiedy będą polskie trąby grały,
Żeby w zgodzie, jedności wytrwał naród cały.
Bo o siłach nie wątpił, lecz tylko o chęci
I zgodzie wspólnych działań, mając w swéj pamięci,
Że tyle usiłowań narodu zmarniało,
Bo zgody i jedności w działaniu nie miało;
I powiadał zwyczajnie: « My szlachta, mospanie!
» Wsiądźmy na koń, a chłop nasz niechaj z kosą stanie,
» To choćby ich tam było i sto razy więcéj,
» A niech ich tam będzie miljon sto tysięcy,

» To Moskwę wykurzymy, tak jak lisa z jamy,
» A Niemcy zmykać będą ze swémi pludrami
» Aż się będzie kotłować — bo to te plugactwo
» Tak nam za kołnierz wlazło, jak brzydkie robactwo,
» I gryzie, i krwią polską chcę się wciąż bogacić,
» Czas by się już policzyć, tryngield im zapłacić. »

Tak chwile upływały w jednostajnéj ciszy
Nad szlachecką zagrodą — i czasem zasłyszy
Pan Wojciech że się w kraju knują jakieś plany;
Że naród chce już zrzucić niewoli kajdany; —
Więc wierząc tylko w walkę nie w rezonowanie,
Poprzeglądał broń palną wiszącą na ścianie,
Odsmarował tłustością rzemienie siodłowe,
Kupił sukna na czaprak, i buty juchtowe,
Dla wierzchowca już sypał tylko owies goły,
Zrobił pięć set ładunków i skrył do stodoły
Przed okiem złego człeka; — tak gotów zupełnie,
Zacierał tylko ręce, wesół był niezmiernie
I wyglądał na drogę...
Gdyż blizko miał sąsiada, młodego człowieka,
Nad którym powierzona była mu opieka
Przez ojca, który poległ w bitwie pod Raszynem;
W miłości rodzicielskiej uważał go synem,
Wychował po swojemu, w cnocie, uczciwości,
I przelał cały ogień gorącej miłości,
Jaki sam miał dla Polski...

Jan mu było na imie — więc od pana Jana
Wyglądał wiadomości co każdego rana,
Który teraz przebywał w odległéj Warszawie,
Bo się żenić zamyślał — więc w hymenu sprawie,
Udał się do stolicy; — ale dnie mijały
I tygodnie schodziły, minął miesiąc cały,
Jan nie wracał; więc Wojciech tém bardziej ciekawy,
Niespokojny, gorący dla ojczystéj sprawy,
Wyglądał lub powrótu lub listu od niego;
Często nawet dosiadał konia wierzchowego,
Cwałował do poblizkiej wioski pana Jana;
Lecz i tam nic nie wiedzą o powrocie pana. —
A czas ślubu się zbliżał z dawna naznaczony:
Czyż kochanek nie wróci do swéj narzeczonéj
Którą ukochał sercem najpierwszéj miłości?
Pewnie to nie oznaka płochéj niestałości,
Ważne jakieś być muszą do tego powody,
Gdy kochanek się spóźnia na weselne gody.

IV.

Jakiż to tłum powozów od samego rana
Zajeżdża przede dworek do starego pana?
Widocznie jakiś festyn zebrał tyle gości,
Bo suknia uroczysta ubiorem jejmości,
I panny wszystkie w bieli, z kwiatami u boku,
A mirta zdobi włosy — i wesołość w oku,
Co tak pięknie przystraja twarzyczki nadobne,

Rumieńcem i świeżością do kwiatków podobne. —
Wdziękiem i wonią kwiatu, w pośród dziewic grona
Jedna piękna, pięknością nad wszystkie wzniesiona,
A takie słodkie czucia w jéj oku jaśnieją,
A lica takim blaskiem szczęścia promienieją,
Że życie jéj skupione w jedną serca siłę,
W niebo szczęścia ją wzniesie, lub wtrąci w mogiłę,
Bo cała marzeń przyszłość, taka słodka, błoga,
Ma się spełnić dziś ślubem przed ołtarzem Boga. —
Lecz czemuż nie przybywa tak długo pan młody?
A przecież dziś dzień szczęścia, bo dziś ślubne gody;
Już nie jeden raz goście w stronę wyglądają,
Zkąd się jego przybycia na ślub spodziewają.
Nie widać — droga pusta, — już i mrok zapada,
Na drzewa, pola, łąki już ciemność osiada,
Już gwiazdy z nieba patrzą złotemi oczyma,
A tego co czekają jak niema tak niema.
Wreszcie ktoś konno spieszy i przed dworkiem staje,
Jegomości na ganku list pilny oddaje;
Ależ to nie pan młody, bo go wszyscy znają ....
Matrony sobie z cicha do ucha szeptają,
A krewni panny młodéj wąsa pokręcają.
Coś się ma na klamanter — mospanie, nie kpiny!
Nie przybyć w sam dzień ślubu, — dla jakiéj przyczyny?
Czy umarł? zachorował? fortuna zgorzała?
Czy złamał wiarę pannie, co go tak kochała?
Ależ nie ... Stary Wojciech, co posłem w téj sprawie,
Wesół, w dobrym humorze, rozmawia łaskawie

Z młodzieżą, co go tłumnie w koło otaczają
I na szram wielki w czole z oka pōglądają;
Bo też to z pod Raszyna ta głęboka blizna,
Co młodym duszom mówi : waleczność ! ojczyzna !
A stary wojak gwarzy z sercami młodemi,
O wypadkach, co zaszły na rodzinnéj ziemi.
Więc w każdém oku błyszczy iskra płomienista,
Co spalić wroga rada jak lawa ognista.

W alkierzu całe grono rodzinne zebrane
Oczekuje ciekawie, co tam napisane
W tym liście, co spoczywa w ręku jegomości !
A jegomość przeczytał i pokręcił wąsa :
» Nie przyjedzie i basta ! — toć nie brak miłości
» Do mojéj biednéj Hanny ... aśćka się już dąsa
» Że nie będzie wesela — że się tort zepsuje,
» Ba ! toć Niemiec w miasteczku lepszy ugotuje ;
» Pal go sęk wszystkie torty .... chłopak chwat i kwita.
» Wojna to nie ślub ! — zresztą niech aśćka przeczyta,
» Bo ja tak tam nie umiem tego wypowiedzieć,
» Wiem że w wojnę młodemu nie przy babie siedzieć. » —

I w gronie familijném popłoch był niemały,
Ciocie, stryje, wujenki wszystkie list czytały,
I milczą, — bo cóż mówić na te argumenty,
Gdy sam jegomość mówi że powód jest święty,
Jasny i zrozumiały ! ...

A Hanna? ona jedna tylko cichą była,
Pismo okiem przebiegła, w oku łza błysnęła,
A w twarzy białość lilji, to znów szkarłat róży
Wskazywał walkę uczuć téj wewnętrznéj burzy,
Co w sercu wrzała... wreszcie, zdjęła wieniec z głowy,
I w bieli, jak prześliczny posąg marmurowy,
Stała ze spokojnością, co w twarzy jaśniała,
Jako wśród czarnéj burzy stoi lilja biała,

V.

Za dworkiem, tuż przy lesie, wśród pięknéj równiny
Było wzgórze nazwane pagórkiem dziewczyny.
Ksiądz proboszcz utrzymywał, że to grób Arjanów,
Uczeni dowodzili że zgliszcza Słowianów,
Lud prosty opowiadał że to Szwedzkie góry,
Że są pewne dni w roku kiedy z ciemnéj chmury
Jakaś biała dziewczyna schodzi na te wały,
I mówi coś i płacze — i szumi las cały,
A z ziemi wstają Szwedy — białą pannę gonią,
Później krzyk się rozlega — i pod ziemią dzwonią,
Zwyczajnie bajki...
Co bądź, miejsce to prześliczne,
Zkąd na około widać wioski okoliczne,
Strumień, rozległe łąki i lasu brzeg szary,
Co poważny, sędziwy, jako pradziad stary,

Uśmiecha młodéj łące i patrzy na kwiaty
I na strumień ozdobny w piękne kwiatów szaty.
Może kiedyś te wzgórza grzmiały hukiem wojny,
Dziś ciche, uroczyste, jak smętarz spokojny,
Patrzą na zmarłe wieki — na czasy wielkości,
Jak starzec w grób schodzący na chwile młodości;
Dziś drobna makolągwa gniazdko tutaj zwija
I dzwonu dalekiego echo się odbija,
A po kolczastych ostach motyl przelatuje,
I smętna, dziwna cisza zawsze tu panuje.

V.

Już wieczór — słońce zaszło — a niebo różowe
Od południa ciemnieje w barwy lazurowe,
Nad lasem księżyc wschodzi, jak kula ognista,
I wszedł na szafir nieba, jak lampa złocista; —
Jakże błogo i cicho szczęście świata płynie,
Póki burza nie wzejdzie i cisza nie minie;
Bo równe zmian następstwo świata i ludzkości,
Spokojność burzy czeka — burza spokojności!
Tak we wszechświecie całym i w sercu człowieka.
To i na szwedzkich górach ktoś od dawna czeka,
Samotny — zadumany — utopił swe myśli
W gorączkowéj fantazyi która wszystko kreśli,
W dziwacznych podobieństwach, gdy serce stroskane
W około widzi szczęście — wewnątrz siebie ranę;
A czy gałązka spadnie w niedalekim lesie,
Czy też wietrzyk najlżéjszy szmer uchu doniesie,

To głośniéj serce bije — i krew prędzéj płynie,
I w tęsknym niepokoju wzburzona myśl ginie;
Bo w sercu jego miłość anielskiéj istoty,
A w duszy jego czucie powinności, cnoty,
Więc z drżącém sercem czeka na lubéj spotkanie,
Na krótką chwilę szczęścia i długie rozstanie.
Dawno . . . dawno już czeka — aż szmer lekki wionął,
Dziewica szybko biegła — młodzian szczęściem płonął.

Jak śnieżny kielich grzybi, co w jezior błękicie,
I w czystém tchnieniu nieba, czerpie swoje życie,
A schylony nad wodą, nad liściem szerokiem,
W nim szczęście i opiekę widzi łzawém okiem,
Tak na mężką pierś Jana śnieżne Hanny czoło
Zawisło chwilę. . . . późniéj jéj wzrok na około
W tysiączne gwiazdy pojrzał — i w oczach młodziana
Utonął zachwycony . . . « mój luby! » — « kochana! » . . .
Drżące usta wyrzekły — i w ciszy milczeniu
Minęła chwila — wieczność — w szczęścia upojeniu.

» Czemuż chmurna posępność w tak ciemnym pomroku
» Cmi piękne twoje czoło ? . . . i smutek w twém oku,
» Kochanku mój jedyny ? . . .
» Podnieś, luby, twe oczy i spojrz w nieba cienie,
« Jak go zdobią prześlicznie złotych gwiazd promienie,
» Spojrzyj, luby, w ten księżyc, co wyszedł z pod ziemi,
» I tak jasno i cicho błyszczy między niemi !

» Nim ten śliczny kwiat nieba rozkwitł na błękicie,
» Mglista szarość tłumiła całe nieba życie!
» Tak ma dusza — me serce — istność moja cała
» W mglistéj była osłonie, pókim cię nie znała:
» Tyś jasnością wszedł dla mnie — a serce zamglone
» Uwiło z uczuć duszy dla ciebie koronę,
» Jam tym wieńcem twe piękne czoło opasała
» I wtedy, o mój luby — ciebiem ukochała.

» Kiedym nieraz schylona na twe piersi czołem,
» Słuchała słów twych słodkich, gdyś mnie zwał aniołem,
» Kiedy w mém sercu czułam twego serca bicie,
» I konała rozkoszą w lubych czuć zachwycie,—
» Wtedy tyś do mnie mówił, że jest większa siła,
» Miłość większa, wznioślejsza, — o! jam zazdrościła,
» Jam zazdrościła wtedy, że miłość ojczyzny
» Przenosisz nad mą miłość . . . i jeśli te blizny
» Dręczyły serce moje to — tylko na chwilę,
» Bo w twém oku, w twém czole, było blasku tyle
» Gdyś te słowa wymawiał, — twarz tak promieniała,
» Żem stokroć, stokroć bardziéj jeszcze cię kochała...
» Jam do stóp twych schylona, duszą, sercem, łzami,
» Święciła boski łańcuch co był między nami...
. . . .
» I czemuż, o mój luby! tym wzrokiem potęgi
» I dumy na mnie patrzysz?... dumnyś mój aniele,
» Że Bóg mi dał sił tyle — ty mocy tak wiele,

» Że z spokojnością znoszę dziś chwilę rozstania?...
» O! choćby serce pękło w moment pożegnania,
» Choćbym śmiercią upadła u twych stóp nieżywą,
» To spokój we mnie znajdziesz — ja będę szczęśliwą,
» Gdy choć w ostatniéj chwili mojego skonania
» Ujrzę żem godną była twojego kochania...
» Tak, spokój we mnie znajdziesz!...patrz, Hanna nie płacze...
» I choćbyś miał nawet... nie, ja cię znów obaczę!
» I do łona przycisnę, — i nazwę cię, moim,
» I umrę razem z tobą dumna szczęściem twojém...
» Patrzaj!... Hanna nie płacze... choć zwilżone oko,
» Ta łza żalu się skryła... tu... w serce .. głęboko,
» A w jéj miéjsce wybłysły te boskie promienie
» Cnót wielkich i poświęceń, których ty nasienie
» Do duszy méj rzuciłeś.....
» Jam spokojna... i teraz — w rozstania godzinie,
» Niech modlitwa serc naszych do Boga przepłynie...
« Klęknij przy mnie... wznieś czoło... tu... w niebo... wysoko,
» Tam święci naszą miłość przedwiecznego oko... »

. . . .

I gorąca modlitwa płynęła przez chwilę,
W milczeniu uroczystém przeszło uczuć tyle
Że świat zniknął przed niemi, a serca złączone
Znów w anielskiéj czystości przed Boga wzniesione,
Spłynęły jednym duchem w pierwotnéj czystości
Bez czasu, nieśmiertelne, w koronie miłości,
Przed którą miłość ziemska jest tylko odbiciem,
Jak znikomy sen świata przedwieczności życiem.

. . . .

» A teraz... teraz, mój kochanku luby,
» My złączeni na wieki... to są wieczne śluby,
» Których nic już, nic w świecie rozerwać nie zdoła!...

. . . .

» Powstań..... idź..... ojczyzna cię woła.....
» A ja zaś czekać będę w ciszy i milczeniu
« I miłość ma żyć będzie w szczęścia przypomnieniu.

VI.

Dzieje ludów zamknięte są w księgi wiekowe,
I płyną po nad niemi, jako chmury płowe,
Płyną po ciemném niebie, księżycem srebrzone;
To często wiją chwały, — wielkości koronę,
Często burzą miotane, wśród boleści trudów,
Dzieją dla siebie szczęście i dla innych ludów.

I nasza niegdyś Polska, świetlanemi czyny,
Lała jasne promienia od Elby do Dźwiny;
Od Pontu do Baltyku, od Dniepru do Sali
Rycerze wielkiéj Polski pieśń wielką śpiewali.

A czasem jasne niebo kryło się chmurami,
I znów słońce zabłysło po nad obłokami,
Znów burza, — to znów moment ciszy i spokoju,
Jak chwila odpoczynku wśród krwawego boju.

O! długie, długie lata tak nam przepływały.
A chmury w ciemną burzę coraz się zbierały,
Aż lunął deszcz rzęsisty z gradem, piorunami,
Straszna burza zawyła nad ojców grobami:
Grom strzaskał pień ojczysty—rozdarł w trzy połowy,
I zmienił kraj wielkości w smętarz pogrzebowy!

O! długie, długie chwile znów nam przechodziły,
A dzieci jednéj matki, na zgliszczach mogiły
Czekały nowéj burzy, co życie dać miała;
I nastała znów cisza straszna i omdlała!...

Aż błysk światła zajaśniał pod Racławicami,
Znów grom upadł w Grochowie, po nad olszynami,
Znów w polach Miłosławia, wstęga piorunowa
Upadła — i znów cisza, a cisza grobowa!

I dzieci jednéj matki burzą rozpierzchnięte,
Święte wielkością sprawy i cierpieniem święte,
Łączą się w jeden zastęp, wielki, szeregowy,
By wspólną siłą zwalić ten kamień grobowy.
Co cieśni piersi nasze!.....

VII.

I codzień słońce wstaje i pogodnie świeci
Na jednéj matki synów — na słowiańskie dzieci,

I ziemia daje plony — i ludów miliony
Mogłyby żyć szczęśliwie, jako brat rodzony;
Mogłyby żyć szczęśliwie na słowiańskiéj ziemi,
W miłości i spokoju z braćmi rodzonemi. —
A wieki już minęły — tysiąc lat już mija,
Jak w rodzie jednéj matki brat brata zabija!
O! czasby się opatrzyć Lachów bratnie plemie,
Czas spojrzeć okiem serca na słowiańską ziemię,
Czas zliczyć duchy braci po nad mogiłami,
Czas otrzeć łzy płynące nad wieków zgliszczami! ...
Czy tobie, synu Moskwy, mało własnej ziemi,
Że musisz o nią walczyć z ludami bratniemi?
Czy tobie, młodszy bracie, mało swego chleba,
Czy łupem krwawych pożóg głód nasycić trzeba?
Że musisz ranić serca, wśród własnego łona?
O niech z oczu ci spadnie ta ciemna zasłona,
Którą carowie twoi na wzrok wam rzucili,
By czarą po nad brzegi krew słowiańską pili!
Bo czemuż dla czczéj dumy, krwią Niemców zmieszany,
Car wysysa jak upiór krwi słowiańskiéj rany?
O, czasby tobie przejrzeć, ludu bratniéj ziemi,
Czasby się już uściskać z braćmi rodzonémi,
Czas osuszyć krwią mokre wspólne nasze łany,
Czas rzucić ziarno szczęścia pomiędzy Słowiany!

Tymczasem pułki Moskwy idą ku Warszawie,
Za co walczyć i ginąć? w jakiéj idą sprawie

Nie wiedzą. Słyszą tylko, że Lach się zbuntował,
Że niewoli poddaństwa carowi nie chował.
Car przykazał — więc idą. — W śniegach i zamieci,
Tysiące na śmierć pada gosudarskich dzieci (1)
I czernią się po polach kosmate szyniele, (2)
A zima lodowata pościel dla nich ściele,
Pościel bielszą i miększą niż ruskie prykazy,
Kazamaty i pałki, albo knutów razy.
Więc idą i śpiewają pieśń pochodu znaną, (3)
Bo wódki choć dostaną — i chleba dostaną,
Chleba co im brakuje, choć z cara prykazem,
Bo pułkownik, podradczyk i car kradną razem. (4)
Więc idą na Warszawę, — bo im powiadają,
Że w Lachów wielkim grodzie, to tam pohulają,
Tam chleba, gawiadziny, wódki co nie miara, (5)
I dzienieg, co w pończosze chowa Laszka stara. (6)
Na taką to podnietę i za taką sprawę
Wierne dzieci carowe idą na Warszawę.
I ćma burych szynieli, jako ciemna chmura,
Ujrzała gród piastowy — i krzyknęła hura!
A wierne syny Polski zagrały pieśń boju
I krzyk tłuszczy pijanéj przyjęli w spokoju:
Zagrzmiało dział tysiące, bagnetów tysiące
Niosło Moskalom odzew na ich hura grzmiące.
Za dni kilka znów Moskwa w lasy się schroniła,
By w śniegach i kopieli od mrozów ginęła.
Lecz cóż to carom szkodzi że ludzie padają,
Że setki i tysiące codzień umierają!

Ich duma i zachcianki większéj u nich wagi,
Niż śmierć, boleść, zniszczenie, wszystkie świata plagi.
To z pod berła carskiego najdalsze krainy,
By okuć znów w kajdany wolne Polski syny,
Ślą żołdactwo najemne, aby zastąpiły
Tych, co z mrozu i ręki Lachów poginęły.
I z szczytów Kaukazu, i z Kamczatki śniegów,
Od granic Chin gorących, z Chiwy i z Tauranu,
Lapończyk z pod bieguna, i Pers z za Bałkanu,
Kirgizy koczujące, Baszkir mało-oki,
Tatary, Samojedy, i Czerkies wysoki,
Zatrutą strzałą zbrojni, z kindżałem, sajdakiem,
Ciągną na polską ziemię znanym dziczy szlakiem.

Już wiosna przeminęła i lato gorące,
Tysiące Moskwy legło i naszych tysiące.
Sto bitew już stoczyli wierne Polski syny.
I na całéj przestrzeni, od Prosny do Dźwiny,
Od Dźwiny aż do Dniepru przebiegł orzeł biały
I kajdany niewoli zrzucił naród cały.
Lecz w księgach przeznaczenia było napisane,
Że grzechy ojców naszych jeszcze nie zmazane. —
Moskwa Wisłę przebyła i szła na Warszawę,
By jednym sił zamachem ubić całą sprawę.
Tam garstka bohaterów wyszła po za wały
I stanęła do boju przeciw Moskwie całéj,
Przez trzy dni i trzy noce Moskwa wytężała
Ostatek sił słabnących ....

Od wody Lodowatej, i z Azowskich brzegów

Krwi święta polskich synów! co w przesiąkłéj ziemi
Świecisz w kartach dziejowych, jak słońce nad niemi,
Tysiące mogił cichych! co snem spoczywacie,
Jakąż w wiekowych księgach pieśń wielką śpiewacie!
Bohaterska śmierć wasza w wieczność przemieniona,
Z wieku do wieku rzuci brzemienne nasiona,
A wkrótce kwiat wyrośnie, waszą krwią podlany,
Dając życie wolności a łamiąc kajdany!

VIII.

Lato było,
Słońce ognistém kołem w swéj mocy świeciło,
Żar żywy z nieba padał, powietrze pałało,
Słupy drobnych komarów w słońcu się kąpało;
Na polu były żniwa.....
Południe... żniwiarz w cieniu pod snopem spoczywał
I z dwojaków co Bóg dał spokojnie pożywał:
O powietrzu, o morach, o wojnie mówili
I z stojącéj tuż łagwi zimną wodę pili.
Aż naraz oczy wszystkich tam się obróciły,
Ku wzgórzu, gdzie był smętarz, gdzie ojców mogiły;
I w niemém podziwieniu długo, długo stali...
Aż klękli.... krzyżem świętym z trwogą się żegnali,
Bo od wzgórka, od smętarza,
Trzy się groby otworzyły,
I trzy głowy wychyliły
Trzy martwice....

I wolno się w górę wzniosły,
Po nad bramę się uniosły
I stanęły....

Oczy trupie próchnem świecą,
Z chust skrwawionych na świat miecą
Jakieś czary....

Po nad niemi miecz ognisty,
Boża-męka i trumienka...
. . . .

Boże! Boże wiekuisty!
To trzy plagi kraj odbiera:
Mór i wojna i cholera!...

Biada! biada, gdzie przeleci
Dziewica moru straszliwa!
Tam od matek drobne dzieci
W zimne uściski porywa.

Lecz gdy sine trzy martwice
Rozpalą swoją gromnicę
I nad wsią się zatrzymają;
To jak liście opadają
W późną jesień wiatrem ścięte,
Jako kłosy kosą zżęte,
To tak ludzie tam padają!

Rzadko wioski zamówione,
Gdzie granicy nie przekroczą,
I w łzach ludzkich nie umoczą
Swoje szmaty zakrwawione.

Są to wielkie tajemnice,
Które starzy ludzie znają!...
Gdy dwie białe jałowice
Pierwszy raz bliźnięta mają,
I gdy sioło oborają
W zaprząg taki, jak śnieg biały,
Po granicy wioski całéj,
Nie zważając na przeszkody,
Po przez bagna, lasy, wody,
(Pług być musi całkiem nowy,
A w nim grzędziel jesionowy),
To gdy straszne czarownice
Przypadną nad tę granicę,
Górą lecąc siać zarazy,
I uderzą trzykroć razy
W okrąg dla nich zakazany,
Jakby ogniem oparzone,
Z wyciem lecą w inną stronę...

Czarowniców zgromadzenie
Gdy odbywa posiedzenie,
Dla ważnosci interesów,
Bierze sobie kilku biesów

Ku przewództwu i ku radzie;
Wielka rada w takim składzie,
Zgromadzenie tworzy walne
Wielkie sądy jeneralne.

I takie to właśnie roki,
Dają wyrok swój wysoki
Na te brzydkie martwic jędze,
Co za słabe w swéj potędze,
Nie poniosły moru w sioło
Oborane na około. —
Zwykle na śmierć są wskazane,
W trzęsawisku pochowane;
Ceremonie wtedy wszelkie,
Formalności bardzo wielkie
W tym się razie odbywają;
Naprzód postą noc śpiewają
Późniéj wszystkie czarownice,
Kładą na swój łeb maźnice
A nie szkopki...
Dopiero w burzy wichrowéj,
W nocy czarnéj, od dzwonicy
Taki kondukt pogrzebowy
Ciągnie z grobów od kośnicy.

Na basetlach wielkiéj miary,
Ogromne grają poczwary,
Między niemi krasnoludki.
(Krasnoludek jest malutki

I podobno jest tak mały,
Że się w garnek schowa cały).

Daléj diabły z ogonami
Postępują z pochodniami,
Niosą kocieł otworzony,
Wrzącą smołą napełniony.
Z niego dusze wyglądają,
Co wiecznie w piekle konają.—
Śmierć koścista idzie z kosą,
Stóśnice chorągwie niosą,
Strzygi z wielkiemi zębami
Niosą głowy pod pachami;
Pokutniki i upiory,
I potępieńce i zmory,
Wszystkie idą na przemiany,
A każde dźwiga kajdany,
Ciężkie, wielkie, ołowiane,
Własną zbrodnią pomazane.
Każde piszczel w ręku trzyma,
W ludzkiéj krzywdzie umoczony
I przeklęstwem zapalony.
A tak płoną te pochodnie,
I tak czarny kopeć dają,
Jak którego wielkie zbrodnie
W piekle karę odbierają. —
Cały pochód pogrzebowy
Dziwne jakieś ma swe mowy,

Jak skrzyp blachy żardzewiałéj,
Jako wody plusk o skały,
Jak jęk dzwonu stłuczonego,
To jak chrap konającego.—
Wszystkie głosy pomięszane,
Głuchą ciszą przerywane;
A krew każde z czaszek pije
I śpiewają wigilije.
Taki orszak pogrzebowy,
Po przez lasy, po przez rowy,
Ciągnie w wielkie oparczyska,
W niedostępne trzęsawiska,
I tam chowa czarownice.—
Tam Boruta już na wieki
Trzyma straż swojéj opieki,
Zapala im błędną świcę,
I z błota jasną gromnicę.
(Filozofy powiadają
Że się same zapalają).
Boruta psoty wyprawia,
Ludziom różne sidła stawia,
Udaje dziecko płaczące,
Albo kobiety tonące;
I gdy człowiek ułudzony
Przybliży się w tamte strony,
To wpadnie w błoto po szyję;
Lecz gdy krzyżem się przeżegna,
Wezwie Jezusa, Maryję,

To złego ducha odegna...
Boruta się w głos rozśmieje,
Wiatr zaszumi, kur zapieje,
Wszystko zniknie — i nic niema...

IX.

Het, od lasu, z tamtéj strony,
Gdzie rozstajne idą drogi,
Idzie człowiek pochylony,
Pochylony, bo bez nogi.

Na przednowku wyszedł z sioła,
Teraz w twardą jesień wraca,
Pot ociera ręką z czoła,
Ścieżką sobie drogę skraca.

I na wzgórku się zatrzymał,
Tam gdzie Boża-męka stała,
Znów pot otarł ręką z czoła,
Smutno spojrzał do okoła,
Kiwnął głową: — « no, wieś cała,
» Toć nie było tu Moskali. »
Westchnął sobie — i szedł daléj.

Czy przeczucie smutek rodzi,
Czy siły życia znękane
Jakąś w sercu budzą ranę,

Ale smutno....
Nikt na przeciw nie wychodzi
Choć wszedł do wsi – idzie daléj,
Żywéj duszy?... «czy Moskali
» Tędy djabeł przeprowadził?...
» Czyby Knoring tu zawadził?...
» Ależ Moskal wszystko pali!...»
I znów dumał — poszedł daléj.

Słońce z za chmur wychyliło,
Blade czoło, i patrzyło
Na wieś smutnie, bo wieś cała
Już wymarła, spustoszała.

Śmierć wycięła swoją kosą
Tych co w chatach zamieszkali,
A zkąd trupa raz wyniosą,
To i wszystkich też wyniosą;
Tam też ludzie nie wracali,
W bory, w lasy uciekali.

Jare zboże na pniu stało,
Bydło po niém się błąkało,
A potrawy nie pocięte
I domostwa nie zamknięte,
Wrony z okien wylatują,
Bo tam strawę dla się czują.

A przy stawie, obok młyna,
Siedział chłopczyk i dziewczyna,
Dwoje dzieci, co zostało
Z całéj wioski....
I gdy starsze usłyszało
Że ktoś idzie,
Odwróciło głowę w stronę,
I patrzało zadziwione.
« A gdzie ludzie? » spytał Wojciech:
A dziecina łzy otarła,
Modre oczy rozszerzyła,
I Mówiła:
» Ojciec zmarli — matka zmarła,
» I my dwoje się ostali;
» Wszystkich w lesie pochowali,
» Tylko Hanna tam, przy młynie,
» W białym dworku — wej, przy trzcinie,
» Gdzie ta duża gruszka stoi,
» Tę graniatą krowę doi,
» Rano wstaje — chleba daje,
» Mleka daje — a i płacze.... »

X.

W środku lasu smętarz nowy,
Nie grodzony, nie święcony,

W staréj sośnie siedzą sowy,
I śpiewają hymn grobowy.

A las stary wtórzy chórem,
Przeraźliwym a ponurym,
Czasem wiatrem tak zaszumi,
Że i śmierci hymn przytłumi.
Wtedy cisza — lecz straszliwa,
Bo ją znowu pieśń przerywa
Ptaków śmierci, co wołają:
Pójdź! tam w grobie cię czekają. (7)

Wśród ciemności gwiazd tysiące,
Błyszczą żółte, migające,
Jak gromnice w pogrzeb płoną;
Zda się całe w smutku toną,
Zda się ronią łzy gorące,
Na sczerniałe już mogiły,
Co wieś całą pochłonęły.

A na jednym, większym grobie,
Co i ojca, dziada, matkę,
Siostrę, braci i czeladkę,
Co już wszystkich mieścił w sobie,
Jedna sierota klęczała,
Modliła się i płakała.
I lżéj sercu, gdy łzy płyną;
Gdy z modlitwą w niebie giną. —

Trzykroć czoło pochylone
O mogiłę uderzyło;
A westchnienie przytłumione
Trzykroć w łzach się rozpłynęło.

I modlitwa już skończona; —
Postać Hanny nachylona,
Jeszcze w niebo spojrzeć chciała,
Gdy Wojciecha tuż ujrzała.

Dreszcz radości przebiegł rany,
Co w sieroty sercu tkwiły:
« Mój Wojciechu ukochany. »
Drżące usta wymówiły,
I w otwarte już ramiona,
Jakiemś szczęściem uniesiona,
Chce się rzucić — lecz stanęła,
Szybko w około spójrzała,
« A mój Jasio? » — zapytała.

. . . .

Długo, długo cisza była,
Cisza straszna i grobowa,
Wreszcie starca drżące słowa
Wymówiły:
« Biedna Hanno! i on w grobie! »

W osłupieniu przeraźliwém,
Strony czucia wyprężone,

Pękły wreszcie uderzone
Gromem jasnym i straszliwym.
Hanna stoi skamieniała,
Jak statua marmurowa;
Mówić chciały usta drżące,
Lecz skonało tchnienie słowa.
Wreszcie trysły łzy gorące,
Konwulsyjnie się zaśmiała,
A głos cichy, przerywany,
Jak dźwięk harfy roztrzaskanéj,
Mówił słowa.....
» Dawno.... dawnom już czekała!
» Matko!.... wieniec.... suknia biała.....
» Ogień w głowie..... w piersiach pali.....
» Gore!.... gore!.....
» Niebo spada!.... świat się wali!.... »

I sierota nieszczęśliwa
Wznak upadła, jak nieżywa;
Gwiazdy świecą w blade czoło,
Cicho — smutno naokoło.....
Biedna Hanna zwarjowała.

XI.

Jakież wyjmiesz uczucia, gdy dusza splątana?
Jakiż ton wybrzmi z piersi, gdy w sercu tkwi rana?

A jednakże w boleści jest także muzyka,
Co w dziki, ciemny akord pieśń serca zamyka.
I gdy myśl nią ciężarna, jak chmura brzemienna,
Gdy przyszłość krwawa, ciemna — jak fatum niezmienna,
Uderza w twego serca kipiące bałwany,
To nie dziw że pieśń straszna płynie z spiekłéj rany.
Ach, patrzaj na kwiat piękny szczęścia i miłości,
Co w zbłąkaniu rozumu, straszny w swéj piękności,
Duchem uleciał w niebo, a ciałem na świecie.
Jak róża z alabastru w świeżych róż bukiecie,
Zlodowaciał i usechł... a czucia straszliwe
Śmiertelny hymn pogrzebu, i tony szczęśliwe
Wesela i radości huczą na przemiany,
Niosąc fale roskoszy — znów ciemne bałwany
W to serce nieszczęśliwe, gromem uderzone; —
Bo też wszystkie boleści tłumém naniesione
Zlały się w dwa promienie światła i ciemności,
W wesela ślubne tony i w pogrzebne dzwony,
I rwą serce zbolałe w dwie przeciwne strony,
Spalone żarem ognia w pamiątkach przeszłości;
A pamięć i pojęcie już prawie zniknęło,
Tylko uczucie w resztkach gwałtownie płonęło,
Jak lampa gorejąca ostatniem płomieniem,
Ślepiąc jaskrawym blaskiem, lub ponurym cieniem.

Księżyc błyszczał na niebie, jako sierp srebrzysty,
Gwiazdy drżąco świeciły na kwiaty zroszone,

Nad łąkami mgły białe stały zawieszone,
Noc była i w naturze spokój uroczysty.
A wzgórza, niegdyś ręką Szweda usypane,
W ciemnym przezroczu nieba czarno załamane,
Stały jak wielki olbrzym z wzniesionem ramieniem,
Zasłaniając pół nieba swym ogromnym cieniem.
Czy stara powieść ludu, co dziwy widziała,
Co w pomrokach przeszłości na Szwedów patrzała,
I na białą dziewczynę, — dziś znowu ożyła!
Bo znów dziewica w bieli na wzgórzu stanęła
I stoi nieruchoma .....
Lecz cóż to? czy to żalu, czy radości słowa,
Tak dziwnie, tajemniczo tłómaczy jéj mowa?
Słuchajmy... bo ten oddźwięk cichy, przerywany,
Dochodzi jak szmer łanu falą kołysany;
Słuchajmy... ach, to szczęścia pieśni błogie płyną,
I w dali, w gwiazd promieniach i w mgłach białych giną.

. . . .

» Tam, w dalekiéj gdzieś krainie,
» Gdzie ze srebra strumień płynie,
» Tam mnie czekasz, o mój luby!
» Tam już wieczne nasze śluby!
» Inne szczęście..... inne światy,
» Wieczna wiosna — wieczne kwiaty,
» Ze strón złotych tam pieśń płynie,
» Cicha — drżąca — nieskończona; —
» Tam w otwarte me ramiona

„ Ja cię przyjmę, o mój luby!
„ Tam już wieczne nasze śluby!
. . . .
„ I wśród czarnych chmur przestrzeni,
„ Niebo krwawo się rumieni,
„ A nad ziemią tego świata,
„ Anioł śmierci wkrąg ulata.
. . . .
„ Jakaż roskosz w pieśni płonie,
„ Jakże w szczęściu serce tonie!
„ Na pierś moją skłoń twe lice,
„ Utop jasne twe źrenice
„ W moją duszę, w serce moje,
„ Umierajmy tak oboje!....
. . . .
„ Słyszysz! słyszysz, o mój luby!
„ Ton téj pieśni cichy, błogi?....
„ Mój kochanku! o mój drogi!
„ To dzień szczęścia, nasze śluby!....
. . . .
„ Co raz słabsze..... słabsze tony.....
„ Chór téj pieśni nieskończonéj
„ W straszny bezład się rozlewa;
„ Słyszysz! słyszysz, ulubiony,
„ Ten jęk drżący, przytłumiony,
„ Anioł śmierci pieśń swą śpiewa.
. . . .

» Jak w chaosie przedstworzenia,
» Wszystko razem pomięszane,
» Boleść, roskosz, śmierć, cierpienia,
» W jeden promień wszystko zlane.
. . . .
» Ach, drży ziemia! . . . .
» I w konwulsjach swego drżenia,
» Z wszystkich grobów wieko spada,
» I świat cały się zapada
» W przepaść . . . . . w przepaść bez imienia ! . . . »

XII.

Wielkie cierpień następstwa, gdy raz w duszę wpłyną,
Jak śmiertelua trucizna, już nigdy nie giną;
I chociaż czasem zwolnią swe skutki zjadliwe,
Z tém większą siłą wrócą w serce nieszczęśliwe,
Ciągle się odradzają w różnéj stopnia sile,
A kres ich ostateczny już tylko w mogile.
Któż zmierzy ciemny odmęt w czuciu obłąkaném,
Kiedy śmiertelna boleść tkwi w sercu kochaném?
Któż zmierzy czarny obszar téj wielkiéj pustyni,
Gdy śmierć najdroższych osób grobem ją uczyni?
Taki nadmiar nieszczęścia, choćby serce z stali,
Piorunowym swym blaskiem o ziemię powali,
A cóż dopiero serce dziewicze i młode,
Które w czuciach niebiańskich kąpiąc swą urodę,

Przeglądało świat szczęścia w niebios ideale,
Jak się przegląda słońce w srebrnych wód krysztale!
W taki to kwiat wiosenny, wdziękiem rosy zlany,
Uderza grom po gromie w zakrwawione rany,
Straszną śmiercią kochanka, śmiercią ojca, matki;
To nie dziw że się czucia gasnące ostatki,
Zmieniły w czarną boleść, w myśli obłąkanie; —
I gdy czasem, na chwilę, rozumu świtanie
Wróci w posępnéj ciszy Hannie nieszczęśliwéj,
To jéj przed oczy staje narzeczony żywy,
W świetnéj, lekkiéj postaci, w téj szczęśliwej chwili,
Gdy wymawiał, że w szczęściu będą wiecznie żyli.

W taki moment przystępny, słuchała z zapałem,
Wstrzymując oddech piersi, z wytężeniem całém,
Kiedy stary weteran, kulawy, bez nogi,
Opowiadał, że w Woli, na lewo od drogi,
Na smętarzu — tam poległ syn jego kochany,
Tam i grób jego ręką stoi usypany,
I krzyżyk na nim stoi.....
Lecz gdy chwila obłędu znowu powróciła,
W śmierć lubego kochanka Hanna nie wierzyła:
I wystawiała sobie w czuciu obłąkaném,
Że się znowu połączy z swoim ukochanym,
Że jeśli on nie wraca, to jest wieś daleka,
Gdzie jéj Jasio najdroższy dawno na nią czeka. —
Aż naraz, gdy się ciemnia jéj myśli zdwoiła,
Hanna wyszła gdzieś w nocy i już nie wróciła,

I ślad po niéj znikł wszelki, — więc Wojciech stroskany,
W świat Boży poszedł szukać córki ukochanéj.

XIII.

Dżdżysta jesień minęła — zima lodowata
Powoli nadciągała gdzieś z innego świata,
Z deszczem, śniegiem, zamiecią, ciągle się toczyła,
Aż śmiertelnym całunem cały świat przykryła;
Wtedy dumna spojrzała że już nic nie żyło,
Że pod jéj zmarłém berłem wszystko się korzyło.
Ale marzec nadchodził, słońce podrastało,
I choć wolno, nieznacznie, zimę nurtowało;
Lody, śniegi, jak gąbka, już się dziurawiły,
A pod niemi zielone trawki już wschodziły.
Lecz zima, dumna mocą, silnie się trzymała.
Chociaż długiem konaniem życie przedłużała.
I co ranek, co wieczór, mrozy wodę ścięły,
Lecz w dzień słońce błysnęło a lody ginęły;
Aż wreszcie deszcz rzęsisty nawałem uderzył,
Skończył zimę i wiosną świat cały odświeżył.

Więc znów wiosna przyszła młoda,
I na świecie znów pogoda; —
Wrony w lasy uleciały,
Bociany górą bujały,

I kukułka zakukała,
Czyż i zięba świergotała,
Boguwola pogwizduje, (8)
I świat cały się raduje.
A szczęście w całéj naturze,
Bo tam krótko trwają burze.
Lecz gdy raz serce człowieka
Dojmie jakaś susza, spieka,
Gdy jego serce spalone,
Gdy nadzieje zawiedzione,
To wiosna go nie odmłodzi,
Ni wiosenny deszcz ochłodzi.
Wtedy lepiéj tysiąc razy,
Gdy się stanie jak te głazy,
Co ni deszczu ani suszy,
Co nie czują nic w swéj duszy.
Bo, — masz serce, to masz ranę,
Którą ludzie rozkrwawiają,
Wrzącą smołą polewają: —
Chcesz się pozbyć téj boleści,
Która całe piekło mieści,
Rzekniesz: « czucie jest słabością, »
Czemże będziesz? próżnią, czczością.
To gdy się tak wypracujesz,
I nieszczęścia już nie czujesz,
Lub nazwiesz go koniecznością;
Staniesz niby tak wysoko,
Że zmartwiałe twoje oko

Będzie patrzeć na świat zdala,
Jak wszystko wzniosłe obala:
Ha! — możesz stanąć w takiej mierze,
I wyrobić stal w twém łonie,
Ale szczęścia tchnienie świeże,
Już cię nigdy nie owionie.
Wtedy pierś twa lodowata
Smutnie spojrzy w zbiegłe lata;
Błędnie także w przyszłość spojrzysz,
Krwawy oścień tylko dojrzysz.
Świat przed tobą tak wynijdzie,
Jak trup żółty i cuchnący,
Jego pogrzeb w myśl ci przyjdzie,
Ty z nim pójdziesz, choć niechcący;
I za życia będziesz w grobie,
I umarły, będziesz chodził,
Z głębi duszy powiesz sobie,
« Po cóżem się na świat rodził! »
A gdy wszystkie te boleści,
Twoja dusza w sobie mieści,
To cierpienia nad wyrazy
Powiększą się miljon razy,
Gdyś z ojczyzny wypędzony,
Gdy twój naród ujarzmiony;
Wtedy boleść spotęgujesz
Do potęgi nieskończonéj;
Bo miljonów boleść czujesz
Jedném sercem .....

Oj, to szczęście że za mała
Naszéj duszy siła cała,
By ten kielich długo piła,
By cierpienia te znosiła,
Chwile długie w naszém życiu: —
Lecz gdy iskra, co w ukryciu,
W głębi serca twego tleje,
Rozjaśniając myśl twéj duszy,
Jasnym błyskiem się wyleje
I twą istność całą wzruszy,
A głos wielki ci zawoła,
Czy szatana czy anioła:
« Patrz!..... i uczuj jak się dzieje! »
To twa dusza oszaleje,
I w téj chwili bez imienia,
Takie będą twe cierpienia,
Że w sekundzie zestarzejesz,
Głową, sercem posiwiejesz,
W mgnieniu oka wiek przeżyjesz,
I ocean łez wypijesz!

Lecz świat cały, już spróchniały,
I nie długo się ostoi;
Choć się dzisiaj zbrodnią poi,
Choć pruchno pruchnem podpiera,
Choć kał znów kałem obciera,
Choć swoje zmurszałe lata,
Wiotką, brzydką szmatą łata, —

Czas nadejdzie — już nadchodzi,
Burza zagrzmi, wiatr powieje,
I wiosna wszystko odmłodzi,
Lepsza przyszłość zajaśnieje.

XIV.

Gdy gwiazda szczęścia odbieży,
A nieszczęścia cios uderzy,
To w zbłąkanéj twojéj myśli,
Gorzki obraz boleść kryśli.
Chwil okropnych nic nie skraca,
Cios nieszczęścia wciąż powraca,
A na czarnym tym kobiercu
Myśli twoje rozpostarte
Ryją blizny niezatarte, —
Ciężko, ciężko wtedy sercu!

I gdy ludzie opuścili,
Gdy opuścił cię świat cały,
A w twém sercu gdy zostały
Żółć i gorycz tych co żyli,
Wtedy serce kamienieje,
I uczucie twe drętwieje,
A na czarnym tym kobiercu,
Gdzie wosk żółty nakapany,

Myśl bolesna krwawi rany,
Ciężko, ciężko wtedy sercu!

W takich myśli ciężkiéj dobie,
Człek bez nogi poszedł sobie
W świat daleki i szeroki,
Stawiać błędne swoje kroki,

Już go wszyscy opuścili,
Wszyscy w grobie, co z nim żyli;
Straszna boleść serce nęka,
Pierś ściśnięta i drży ręka!
Gdzie się udać? w które strony,
Szukać Hanny ulubionéj?....
Ciężko westchnął nieszczęśliwy,
Łza upadła na wąs siwy,
Poszedł daléj!.....

XV.

Kiedy jedziesz brzegiem Bzury —
Jak jéj łoże płynie z góry
Po równiutkiéj łąk przestrzeni,
Po takiéj morza zieleni,
Że aż ci się w oczach mieni:
I gdy słońce nad zachodem,
Tę zieloność barwi złotem,

To powietrze takie czyste,
Wielkie niebo tak przejrzyste,
Że żrenica twoja chyża,
Każdy przedmiot ci przybliża.
Już blisko jesteś Łowicza,
I ochotnie trzaśniesz z bicza,
Popędzając żwawiéj koni,
Boć go widzisz jak na dłoni.
Lecz gdy spotkasz jak powraca
Z pola chłopek, kiedy praca
I znój dzienny ukończony,
A z widłami lub z grabiami,
Z pękiem trawy za plecami,
Idzie do dom uznojony,
I zapytasz:
A jak Łowicz oddalony?
To ci powie: «pochwalony!
» Ba, toć z milka jeszcze będzie. »
Tu brzozówki wydobędzie,
Co rzemykiem się otwiera,
Na wóz, na konie spoziera,
« Jeślić się co nie zepsuje »
(Tu tabaką poczęstuje,
Co uwiercił ją w donicy,
I mięty trochę przysypał,
Od niéj zaraz będziesz kichał,
Jakbyś zażył ciemierzycy);

Znów ukłoni ci się nizko,
I odpowie: « toć już blizko
» Dziadowską wodę miniecie,
» To i w Łowiczu będziecie;
» Ale choć szkapki cugowe,
» Ba, i koła wszystkie nowe,
» To jak w te piachy wjedziecie,
» Przed zachodem nie będziecie;
» Nie pomogą i cugowe,
» Chociaż tłuste, duże, zdrowe,
» Bo to piasek nie szosyja;
» Tam człek nigdzie nie wymija,
» Koło grzęznie aż do osi,
» Bydle z pracy się zanosi;
» Aleć jak piachy miniecie,
» To i w Łowiczu będziecie.
» Niechże będzie pochwalony! »

Ominąwszy łęg zielony,
Stadami bydła upstrzony,
Wjeżdża się w piasku jezioro,
Gdzie nie dojrzysz nic w około,
Ani śladu żadnéj drogi,
Ani stopy ludzkiéj nogi,
Tylko piasek latający,
Żółty, suchy a gorący:
Lud go zwie dziadowską wodą,
Bo też swą siwą urodą,

Starość wodę przypomina,
Koń twój ciężko się ugina,
Zrywa sobie dobre nogi,
A oś skrzypi, szumi koło,
To spoglądasz naokoło,
Czy gdzie niemasz lepszéj drogi;—
Lecz jak sięgnie twoje oko
I daleko i szeroko,
Piasek żółty i manowce,
Pusta wydma i jałowce
Gdzie niegdzie powyrastały,
W krzaczek nikły, zwiędły, mały.
Za jałowcem oddalone,
Lekką chmurką ocienione,
Ujrzysz dwie wieże kościoła,
Co do duszy smutno woła
O dawnych polskich prymasach,
I o Szwedach i o Sasach.

Na tym piasku, oddalona,
Sama karczma sobie stoi,
Burzy, wichrów się nie boi,
O, bo mocno postawiona.

Bo w niéj wszystko drzewo zdrowe,
Ba i przyciesie dębowe,
A i dach, choć słomą kryty,
To przecież tęgo poszyty.

A w izbie chłopków gromada,
O swéj staréj biedzie gada,
O Moskalach, o cholerze,
Boć to wszystko jeszcze świeże.

I czasem wszyscy śpiewają,
To znów jednego słuchają,
Czasem głośno pokrzykują,
Bo już karczmę trocha czują.

A we środku człek bez nogi,
Oj, z dalekiéj przyszedł drogi,
A wszyscy go dobrze znają,
Wszyscy nizko się kłaniają.

Był to niegdyś wojak tęgi,
Co Moskalom sprawiał cięgi,
Teraz tylko się frasuje,
Tylko smutno wyśpiewuje.

W kącie stoją parobczaki,
I od żrebaków chłopaki,
A cicho sobie gadają,
O tym grajku powiadają,
Co jak gra końskim ogonem,
Po suchym sznurku baranim,
I zaśpiewa smutnym tonem,
O Moskalach, o cholerze,

To aż człeka drżączka bierze,
To aż dusza idzie za nim.

W około się uciszyło,
Bo Wojciech smykiem zaskrzypał,
I takie milczenie było,
Jakby makiem kto zasypał;
A Wojciech sobie przygrywał,
Późniéj taką piosnkę śpiewał:

» Jakże w Bożym świecie miło,
» Jakże by nam dobrze było,
» Lecz Bóg zesłał na nas karę,
» To za grzechy nasze stare!
» Wypleniła lud cholera,
» A resztę Moskal zabiera.

» I cały lud wybierają,
» Na kraj świata zaganiają,
» A tam wymrą niebożęta,
» Ojca, matki nie obaczą,
» Póty sobie ciężko płaczą,
» Aż ich przyjmie ziemia święta.

» Matka syna wychowała,
» A czegoż się doczekała!
» Teraz tylko sobie płacze:
» « Już go więcéj nie obaczę! »

» A Moskal go pałką bije,
» Od stóp nagich aż po szyję,
» Że aż cały we krwi pływa,
» Suki synem go nazywa.

» Dużo, dużo biedy naszéj ! (1)
» Lecz Bóg wszystko jeszcze zmieni,
» I złe w dobre się przemieni,
» Jeszcze przyjdą lepsze czasy.

» Jeszcze pójdziem w imię Boże,
» I pan Bóg nam dopomoże;
» Jeszcze weźmiem nasze kosy,
» I Moskalom utrzem nosy. »

A chór chłopków potakuje,
I przywtarza, wykrzykuje:

» W imię Boże, w imię Boże,
» A pan Bóg nam dopomoże;
» Weźmiem, weźmiem nasze kosy,
» I Moskalom utrzem nosy. »

I za szyję się ściskają,
Kumem, bratem nazywają,

(1) W tym ustępie dużo jest wierszy i wyrazów ludowych.

Bo myśl serca otworzona,
Razem w jeden punkt spłynęła,
A im bardziéj utajona,
Z większą mocą wybuchnęła.

Aż znowu się uciszyło,
Bo Wojciech smykiem zaskrzypał,
A takie milczenie było,
Jakby makiem kto zasypał.
Znów Wojciech sobie przygrywał,
A chór chłopków pieśń tę śpiewał:

» Oj téj wioski pod Łowiczem,
» Krukowiecki jest dziedzicem,
» Co to zdradził polską sprawę,
» I co zaprzedał Warszawę.

» Choć ty sypiasz w karmazynie,
» Choć masz suknie w złote koła,
» Boża kara cię nie minie,
» Nasza krzywda pomsty woła.

» Oj nie minie! Oj nie minie,
» Boża kara na twym synie,
» I na wszystkie pokolenia,
» Bóg cię zniszczy aż z korzenia.

» Choć w twem polu plon zielony,
» Na twéj głowie siwe włosy,
» Toś od Boga potępiony,
» Bóg wysłucha nasze głosy.

» Na twe włosy przysięgałeś,
» A Moskalom nas przedałeś,
» Kara Boża cię nie minie,
» Całe twoje plemie zginie,
» I zaginie i zmarnieje,
» I wiatr kości twe rozwieje. »

Tutaj Wojciech się dowiedział,
Że dziewczyna obłąkana
Przechodziła tędy z rana,
Jakiegoś grobu szukała,
Wszystkich ludzi się pytała:
» Gdzie to jest ta wieś daleka,
» Gdzie jéj Jasio na nią czeka. »
A więc braci swych pożegnał,
Za szyję się uściskali,
Krzyżem świętym się przeżegnał,
I szedł Hanny szukać dalej.

XVI.

Wielkie miasto, ruch w około,
Gwarno, szumno, i wesoło,
Jeżdżą, chodzą i biegają,
Jedni drugim się kłaniają;
A nie ujrzysz tam sukmany,
Bo to wszystko wielkie pany,
Jenerały, senatory,
Same wielkie matedory,
W karmazynie, ozłocone,
Orderami ozdobione,
Jedni drugich oglądają,
I zawsze się uśmiechają.

A na placu, przy kościele,
Gdzie dziś Moskwa cerkiew mają,
To chuśtawki, karuzele,
Ludu wiele, bardzo wiele,
I jakieś wysokie słupy,
I jakieś z płótna chałupy,
A w nich małpy i psy grają,
I zające tam strzelają.

Hałas wielki, wszędzie gwarno,
I ścisk wielki tak aż parno;
Katarynki i trębacze,
Każdy wesół, nikt nie płacze:
Bo szczęśliwi i weseli,
Mają wszystko czego chcieli.
A czegoż im brak takiego,
Toć chyba mleka ptasiego;
I czegoż się smucić mają,
Wszak to wszystko darmo dają,
Bo Moskwa prażnik obchodzi, (9)
Ciężką obróż cukrem słodzi.

Na boku ludzi gromadka,
A między nimi warjatka:
Jasne włosy rozpuszczone,
Oczy w niebo podniesione,
Twarzy wyraz tak surowy,
Jakby posąg marmurowy.

» Tam..... w jasności..... tam, wysoko....
» Gdzie nie sięga wasze oko,
» Tam jest ojciec sprawiedliwy,
» Mój narodzie nieszczęśliwy!

» Tam jest ziarnko w téj przestrzeni,
» Co się świętą krwią rumieni......

» Tam dźbło trawy wśród téj niwy,
» Mój narodzie nieszczęśliwy!

» *Tu*..... spłynęło w moje serce,
» Co się w wszystkich sercach mieści.....
» Ja *tu*..... czuję w téj iskierce
» Ogień!..... ogień wszech boleści!.....

» Lecz nim ogień buchnie falą,
» Nim wzrok ducha błyśnie stalą,
» Wytrwaj!..... wytrwaj, bądź cierpliwy,
» O mój ludu nieszczęśliwy!

» *Ty*, krwawemi łzami zlany,
» Wśród tysiąca mogił żywy,
» *Ty* sam jeden nie skalany,
» O mój ludu nieszczęśliwy!

» I świat cały, — skamieniały;
» W krwi, w boleści się przewala,
» Jak miotana burzą fala;
» Wreszcie pada znikczemniony,
» U twych świętych stóp rzucony,
» Jako posąg zdruzgotany,
» Mój narodzie ukochany!

» Mój narodzie nieszczęśliwy!
» Chwilę!..... chwilę bądź cierpliwy!

» Patrz!..... . . . .
» Ciemna chmura w niebios dali,
» Na złocistéj płynie fali;
» W jéj promieniach słońcem chwały,
» Męczenników zastęp cały,
» W duch narodu gromem świeci!.....
» Patrz!..... . . . .
» Miljon gromów z nieba leci,
» Wielki! święty pożar nieci.....
. . . .
» *Ty* wychodzisz nieśmiertelny,
» O mój ludu! wielki, dzielny!»

I umilkły wieszcze słowa.....
A dziewica,
Jak statua marmurowa,
Jakby zlana światłem cudu,
Stoi sama wpośród ludu.

Lud zdziwiony, przerażony,
Uroczystą ciszę chowa.....
Aż znów wstały wieszcze słowa:

» Przyjdzie chwila w dni niewiele,
» Że powstaną krwi mściciele.....
» Kto nie wstanie téj godziny,
» Kiedy wszystkie wstaną syny,
» Kto nie porwie za miecz święty,
» Ten na wieki bądź przeklęty!....
. . . .

» Po téj chwili, w dni nie wiele
» W złotych wieków wszechkościele,
» W czystéj wiosny dnia zaranie,
» Kwiat piękności wszystkim wstanie:
» A w miłości i spokoju,
» Już nie będzie krwi i boju,
» Już nie będzie......

Policjanci się zbliżyli,
I tłum ludu rozpędzili.

XVII.

Ciemność światła pochłonęła,
Żadna gwiazda nie błysnęła,
Noc.
A powietrze przycisnęły
Ciężkie chmury:
Po nad ziemią tuż stanęły,
Czarne i nieporuszone,
A gdzie w dali — bardzo w dali,
Błyśnie niebo otworzone,
I ciężkie chmury odwali,
I moc ognia w ciemność rzuci;
Grzmot straszliwy świat ocuci,

Głuchym jękiem drgnie natura,
Drgnie świat cały — zadrży chmura,
Znów śmiertelna ciemność, głusza:
Trawka, listek się nie rusza.....
Wszystko wstało wyprężone,
Wszystko czeka przerażone
Jakiéjś chwili. . . . . . .

. . . .

A do grobu i do krzyża,
Jakaś postać się przybliża....
I wolno pacierz mówiła,
Za umarłych się modliła.....

. . . .

„ W niebie..... w niebie znów zobaczę.....
„ Z wami..... z wami znów zapłaczę.....
„ Ojcze! Matko..... mnie czekacie,
„ Dawno mnie już wyglądacie.....
„ I mój Jasio téż tam stoi —
„ Tam nikt śmierci się nie boi.....

. . . . . , ...

„ Widzę.... . . . .
„ Widzę niebo otworzone.
„ I jasności nieskończone
„ Słońc, gwiazd, światów... i anioły.
„ I Matka Boska w koronie
„ Dzieciąteczko ma na łonie,
„ Woła na mnie . . . . . .

» Hanno! Hanno! czas na ciebie,
» Lepiéj..... lepiéj będzie w niebie..... »
. . . .
Czarna chmura otworzyła
Swe czeluści przepaściste,
I jasności wiekuiste,
Przez kir czarny przepuściła.
A tron Boga otworzony,
W wielkiem morżu ognia płonie,
I świat cały zapalony,
W płomienistych falach tonie.
. . . .
Na grobie klęczy dziewica,
W niebo wznosi czyste lica,
Jasność bije z Hanny czoła,
Chór aniołów w niebo woła.
. . . . Na krzyż się pochyliła,
. . . . Już w niebie była.....

XVIII.

Na świecie — w myśli — w sercu, — i w całéj naturze,
Znów cisza i pogoda, kiedy miną burze:
Tylko cudem natury — w kilka godzin zmiany,
Gdy długich lat potrzeba zgoić serca rany; —
A jednakże świat liczy wiekami istnienie,
Człowiek na lata liczy życie i cierpienie!

Poranek..... słońce wschodzi światłem purpurowém,
Zdaje się że odradza wszystko życiem nowém ;
Tysiącem jasnych świateł wdzięki swoje wtórzy,
W kroplach deszczu, co błyszczą po okropnej burzy.
I cisza uroczysta na mogiłach Woli,
Wiatr tylko niesie zapach z rozkwitłéj topoli.

U stóp krzyża — na grobie — dziewica spoczywa,
A fala jasnych włosów na jéj łono spływa,
Słońce drgając w promieniach, lekko je porusza ; —
To ciało ślicznéj Hanny, któréj w niebie dusza,
To ciało ślicznéj Hanny!... jéj czoło zroszone,
Zdaje się tworzyć jasną z brylantów koronę,
I odbijając w tęczę złote słońca nici,
Nad bladą twarzą zmarłéj promiennicą świci. —
To ciało ślicznéj Hanny, która świat rzuciła!
Świat nieszczęść i boleści, w którym gorycz piła.
Więc dla czegoż ta lilja, co wśród trawy wzrosła,
W tak krótkich chwilach życia, tyle ran odniosła?
Więc dla czegoż kwiat czysty, dla szczęścia stworzony,
Bierze najczęściéj boleść cierniowéj korony?
Ale palma boleści, twych braci miljony (10),
Szczęśliwi, bo to nie śmierć, raczéj wieczne życie,
Co przez lata i wieki w całym swym rozkwicie
Rzuca nasiona szczęścia w długie pokolenia,
Aż wreszcie u stóp Pana w anioła się zmienia. —

Bo czyż dusze rażone grotów tysiącami,
Bez celu opatrzności żyją między nami?
Czyż z ziemi ustępując, w pośród duchów cieni,
Boleści ich już nikną w czasie i przestrzeni?.....
O! cierpienia nie nikną, — nie nikną boleści,
Są one tajnią życia, co zdrój żywy mieści:
I każda z nich uczuciem, sercem wyrobiona,
Rzuca nasiona szczęścia wśród ludzkości łona,
A plony i owoce, co wieki zbierają,
W świecie, w myśli i w duchu wciąż się odradzają.—
Ach! szczęśliw, kto tak w życiu niesie swe cierpienia,
Temu boleść znikoma w wieczny raj się zmienia.

A jednakże na grobie rzucony trup biednéj,
Nie masz serca — łzy żalu — nie masz duszy jednéj,
Któraby zapłakała nad zgonem anioła,
Co wzleciał jasném skrzydłem w bramy wszechkościoła,
Błogosławionych krzyżem..... Niemasz duszy żywéj?
Ach, jest! człowiek bez nogi, starzec nieszczęśliwy,
Co kopie grób przy grobie,— na wąs jego siwy
Łza po łzie ciężko spada..... i skończył kopanie; —
Jakże ciężkie, okropne, ostatnie rozstanie!
Z ostatnią duszą żywą, co go opuściła,
Co przed nim w grobie teraz..... w grobie już spoczywa!
Skończył..... oczy zasłonił — i nie miał już siły
Rzucić pierwszą garść piasku, zasypać mogiły;
Stoi nieporuszony, — boleść siły nęka,
Drży cały, — pierś ściśnięta od boleści pęka...

. . . .

I po okropnéj burzy, co przed chwilą była,
Przy dawnéj, mchem porosłéj, znów świeża mogiła!
A słońce najspokojniéj bieg swój jasny toczy,
A skowronek pieśń nuci, wśród jasnych przezroczy....
I cisza uroczysta na mogiłach Woli,
Wiatr tylko niesie zapach z rozkwitłéj topoli.

OBJAŚNIENIA.

(1) Tysiące na śmierć pada gosudarskich dzieci.

Gosudar, pan — tutaj w znaczeniu : Car — cesarz.

(2) I czernią się po polu kosmate szyniele.

Płaszcze bure, z grubego, kosmatego sukna, któremi armia moskiewska odziana.

(3) Więc idą i śpiewają pieśń pochodu znaną.

Śpiew ten jest następujący :

» Stanuli na rynkie,
» Wypili gorełki (wódki),
» Wypili po czarce,
» I poszli w pochod (w marsz), i t. d.

(4) Bo pułkownik, podradczyk i Car kradną razem.

Podradczyk — dostawca żywności.

(5) Tam chleba, gawiadziny, wódki, co nie miara.

gawiadzina — mięso.

(6) I dzienieg w pończosze chowa laszka stara.

Dieńgi — pieniądze.

(7) Pójdź! tam w grobie cię czekają.

Pućka — Puhacz — Puszczyk ma wołać według podania ludu:

« Puć w dołek
« Pod kościołek. »

(8) Boguwola pogwizduje.

Wilga, Wywielga, Zofja, Boguwola.

(9) Bo Moskwa prażnik obchodzi.

Prazdnik — święto. Tutaj wspomniane są zabawy, które Moskwa wyprawia dla ludu co rok, w czasie rossyjskiéj wielkiéjnocy w Warszawie. Odbywają się one po większéj części na placu Krasińskich: są tam chuśtawki, karuzele, namioty z kuglarzami, muzyka, balony, maszty do włażenia z nagrodą, fajerwerki i t. d.

(10) Ale palma boleści twych braci miljony.

Palma u pierwszych Chrześcian jest symbolem pokoju po męczeństwie.

KONIEC.

Cena Tal. 1.